

I-36363/68

Cena 1 marka.

Łódź, dn. 1 sierpnia 1920 r.

OCHOTNIK

Nr. 2 JEDNODNIOWKA. Nr. 2



DO BRONI!

KAZIMIERZ WROCZYŃSKI

Pieśń ochotników.

Idziemy, by walczyć za polski nasz kraj.

By wroga zwyciężyć lub nie być.
Bo hasłem jest naszym a hasło to nasz

Że nigdy nasz Polski nie przesydł!

Gdzie leżał pożarów-hor-dwiesć,
Gdzie braci morduje nasz wróg,
Idziemy, gdzie armat i brzoj wro huk,
Gdzie martwa-ojczyzna swie dzieci!

Wróg z Polski wytacza krwi zdroj,
A los na to głuchy i niemy!
Ojczyzna swie dzieci: „na bój!”
Idziemy, matko, idziemy!

Zostawim tu wszystko, co każdy tu miał:

Rodziny i ojców i żony,
Ażebym zwyciężył Bóg dobry nam dał
Za polski ten kraj umęczony.

Za fabryk zniszczonych warzaty,
Świątynie, rozbite od kul,
Za dziatek mogilki, za głód i za ból,

Włażemy upalono i chaty!

Wróg z Polski wytacza krwi zdroj
A los na to głuchy i niemy
Ojczyzna swie dzieci: „na bój!”
Idziemy, matko, idziemy!

A kiedy nasz bagnet o wroży pochnie
nó!

Nie dany ni pędzi swój ramię;
A choćby i poiedz nasz przyszło, że
cóż?

Kraj ciulmi zagroźnim swojomi.

Lece Bóg o zwycięstwo stanowi
I weśle na polski je lud,
A my zaś w nagrodę za trud
Zbitemu powiemy wrogowi:

Krwie chciales wytoczyć z nas zdroj
A teraz żeś głuchy i niemy,
Zwycięstwo nad tobą dał bóg,
Zwycięstwo do Polski niesiemy

Łódź dn. 26/VII 20, r.

Rząd Obrony Państwa.

Ostatnie dni przyniosły bardzo ważne zmiany w życiu wewnętrznym naszego kraju. Gospodarkę Państwa ujął w swe ręce rząd koalicyjny, t. j. złożony z przedstawicieli wszystkich stronnictw, odgrywających wybitniejszą rolę w politycznych sprawach Rzeczypospolitej. Szerokie masy ludu pracującego, które są podstawą i fundamentem nowoczesnych społeczeństw, mają w tym rządzie najdzielniejszych swych szermierzy.

Na czele bowiem nowego rządu stoi krew z krwi, kość z kości chłop polski, poseł Witos, gospodarz rolny z Wierzchosławic w Małopolsce, zasłużony bojownik o wolność narodu polskiego i prawa należne włościanstwu. Zastępcą Witos'a i wice-prezydentem rządu jest poseł Daszyński, nieustrudzony obrońca interesów robotnika polskiego, tego robotnika, który — walcząc wytrwale o ludzki byt dla siebie, — niepodległość Ojczyzny i dobro całego narodu stawiał zawsze na pierwszym miejscu. Stanowiska ministrów zajęli mężowie wypróbowani, którzy dali się dotąd poznać, jako tegie głowy, dzielni pracownicy i świetni organizatorzy.

Olbrymie zadania, jakie stoją przed rządem koalicyjnym, wyłożył krótko i dosadnie w swem przemówieniu sejmowem prezydent Witos. „Rząd wezwie naród — mówi Witos — do ofiar, koniecznych dla ratowania i ocalenia Ojczyzny i nie zadowolili się jedynie ofiarnością nielicznych jednostek. Odrzucając hasła partyjne, rząd nie zapomni, że masa ludu pracującego wsi, miast i osad fabrycznych dać musi dzisiaj Polsce krew i trud, aby w niej znaleźć ukochaną Ojczyznę. Naród nasz stać na to, ażeby się skutecznie obronił i oprzeć wrogom, skoro istnieje silna wola i jednocześnie sił wszystkich.“

W ciężkiej i przełomowej dla Ojczyzny chwili skupia się z ufnością swartem kolem całe społeczeństwo wokoło rządu zgody i sjednoczenia. Rząd ten dla obrony naszej niepodległości i wolnego bytu powoła wszystkie siły. Trwały i sprawiedliwy pokój nastąpić może tylko wtedy, jeśli wszyscy, co do jednego, stać będziemy pod bronią, z męską gotowością nieustąpienia wrogowi ani jednej płędzi ziemi polskiej, z twardem postanowieniem przetrwania zabarczej łapy moskiewskiej, któraby chciała na szyje nasze wleśnąć obrożą niewoli.

Bolszewikom — naturalnie — bardzo nie na rękę taki rząd polski, w którym zasiada chłop i robotnik obok profesora i inżyniera. Wrzeszczeli i wrzeszcza przeciw krwawi komisarze moskiewscy, że w Polsce rządzą tylko „panowie i burżuazje“. A jak to wygląda naprawdę? U nas sprawują rządy ucziwi przedstawiciele wszystkich warstw społeczeństwa, u nich zaś — carscy generałowie, żandarmi i różni niewiadomego pochodzenia zbrodniarze, złodzieje i awanturnicy, którzy tyle mają łajdactw na sumieniu, że nawet wstydzą się ujawnić swe prawdziwe nazwiska. Nie wszyscy może wiedzą, że Lenin nazywa się naprawdę Ułjanow, Trocki — Bronstein i t. d.

Jeżeli się nad tem wszystkim trochę zastanowić, to chyba nieuczony nawet człowiek zrozumie, który rząd lepszy i który naród mądrzejszy. Chyba nie moskale.

WŁADYSŁAW GACKI

ZWYCLEZCY.

(Osnute na tle wypadków r. 1915).

Było ich trzech: od kilku tygodni wspólną dolą związani. Łączył ich wspólny los ściganych groźbą szubienicy „szaleńców“ i tylekroć wewnątrz przeżywana radość w wybuchach warjackiego śmiechu, że ten stryk, pod który tak łatwo się nawinąć w czasie wojny, ich jednak dosięgnąć nie zdołał... Bratało ich wspomnienie tych chwil, złobiących dusze głębokimi wyrwami, gdy rozstając się na kilka godzin, żegnali się krótkim, wymownym kiwnięciem głowy:

„Wrócisz żyw, czy...?“

Wspólna nędza była im macierzą, wspólne wszy, zbierane z noclegów po norach, suterynach — nieodłącznymi towarzyszami.

W tę noc ciepłą, ciepłą noc lipcową, jednoczył ich wspólny dach nad głową: szopa nisko na drągach opuszczona nad stożkiem świeżego siana, na łączce pod wsią — ostatnia kryjówka, której udało się im dopaść.

Łączyła ich wreszcie i nadewszystko głęboka, radosna wiara, że służą Polsce i czekają na tych, którzy mają przyjść i przyjdą niechybnie, w jasny dzień, otwarcie i hardo błyskając ostrzem bagnatów... I rozżarzała im serca wspólna duma z posiadania dwóch — ukrytych w sianie karabinów.

Bo historia tej broni, wydartej w pojedynkę miljonowej armii — to poemat ich życia — poemat stojącego się żołnierza polskiego!...

Było ich trzech..

Najstarszy Jan z resztkami modnie skrojonego „cywila“ na sobie, o twarzy ogorzalej, zsięzionej, zarosniętej, o oczach szarych, bystrych, z polyałem stali, jeszcze niedawno wytworny student europejskiej wszechnicy — obecnie całkiem schamniały inteligent.

Dwaj inni — doborowe okazy polskiego rekruta: dwa młode dębozaki, o prężnych ramionach, jasnych oczach i białych zębach. Wszyscy trzej przeszło od roku bez nazwiska, ale zawsze z najautentyczniejszymi paszportami własnego wyrobu.

Pewna bezpieczeństwa i łączności ze „swem“ zapadli na pacinającym sianie w twarzy, błogi sen po kilku bezsennych nocach... I, po wzruszeniach ostatniej obławy, z której ledwo, ledwo udało im się wymknąć...

Pędzili długie godziny, gwarząc zochę i zrzadka, żując chleb, dla ostrożności w dzień jedynie ściągając papierosy.

Nastuchiwali w napiętym oczekiwaniu: armaty grały. Grzmiąca kanonada dział polowych, a nad nią rozbrzmiewał raz wraz huk głuchy, potężny haubicy, jak rozkaz najwyższy, niebosięzny.

Szerokim półkolem szła od zachodu nawabnica; padał rytmiczny szereg strzałów, grały naprzemian akordy huków, słabnąc w dalekich pomrukach, cichnąc powoli, gdy z dali wyrwał się nowy huk, jeszcze potężniejszy, porywał rykiem milknące pomruki, rwał, szarpał, miażdżył jakby żywą żądzą odwetu miotany — i cichł, gubiąc się w dali. Aż nowy akord uderzał, dusił milknące pomruki, chłonąc je mocą nieodpartą ciosu niechybnego...

Jan słuchał z głową, wspartą o drąg narożny stogu; w brózdach jego czoła i w oczach błyszczących czuwała myśl nieustrudzona: słuchał, obliczał, mierzył. Czekał nieruchomy, spokojny, chwilami wtórując głębszym oddechem hukom, stającym się bliższymi. Właściciel maciejówki, Józwa zwany, kręcił się nieustannie, prostował w łokciu lewą rękę, postrzeloną lekko w ostatnim pościgu, poprawiał opatrunek.

— Dobrze jest! — powtarzał do siebie. — Chociaś Mochu, porządnego ciałowika utrupił! Czekał, wpadniesz w moje ręce!

Stwierdzał znów z zadowoleniem niebolesność stawu łokciowego, próbował dowcipkować, nasłuchując kanonady.

— Pierelot, niedolot — mruczał przy zmianie strzałów. — Dolot!

— „U naszego brata“ pewnie słaby dolot, bo nie ma czym strzelać! — rzekł weselo Jan.

— Sucharami, to im lepiej idzie, bo tego im nie brak!

— Aby się już prędzej skończyła ta mitrąga! — dorzucił trzeci, Stachem zwany. Siedział spokojny, obojętny na otoczenie, śmiał papierosy i pluł przed siebie.

Gdy armaty umilkły koło południa Józwa mawiał:

— „Nasz brat poszedł na obład; jak sobie podje, będzie mu lżej!”

Dręczącym jednak był ten musowy wypoczynek przy nadmiarze młodych, skupionych u jednego celu sił.

— Józwa, oddalibyście mi swój karabin! Co wam po nim z waszym kikutem?! — przeciągając się na siano, odezwał się półzartem Jan, jakby chcąc wypróbować towarzysza.

Józwa zerwał się; szturchnąwszy się głową o szopę, upadł na kolana i, podtrzymując prawą dłoń, lewą łokciem, jął wstrząsać, choć zlekka, ostrożnie, zaciśniętą pięścią!

— Taki ci ja kikut! nlejednego niech-no tą samą lewicą pomacam — więcej nie trza!

Zaczął się wazyscy zcioha śmiać.

— Mołodzieci! — mruknął Stach i splunął przez zęby.

Było już dobrze po północy, gdy usłyszeli w blizkości lekliwy szustek.

— Baczność! — szepnął Jan, padając tułowiem naprzód.

— Jani! — usłyszeli z pod stogu, od strony pół cichy młody głos.

— Swój! — odpowiedziano.

Po chwili dwie pary rąk wychyliły się z pod szopy, aby przyjąć z rąk wyroska bochenki chleba i wielki dzban wody.

— Co ci kazali? — zapytał Jan.

— Nie ruszać się, czekać.

— Co więcej?

— Strach we wał, bo w okoluško już palą; kozaków pełno się kręci!

— Był kto obcy?

— Nie nie gadali — odparł wyrostek.

— A w mieście są moskale?

— Pono jeszcze się trzymają; gadałi, wielkie chmary wojska bokami już przeszły.

— Przyjdiesz jutro?

— Dyć przyjdę!

Zaszczęściły, cichótko bosa stopy po rosie. Po chwili wazyscy ucihło.

Zakaśli, wodą popili, markotni, że palić nie można...

Armaty znów nagraly, zdawało się, już w bliższej odległości. Trwał huk

jednostajny, przeciągły i niemiłkająca kamonada.

— Grzeją dobrze, to prędzej pójdzicie! — odezwał się Józwa.

Kłęcząc na siano, przez wydarte otwory w słomianej szopie wypatrywał widnokres, skąd grzmiały armaty.

Skrzyty się oczy Jana, utkwione w dal. Nad uczuciem grozy falowało żywszym tętnem uczucie błogie, rozlewne.

Józwa kręcił się, wyglądał przez szpary w szopie, mrużąc pod nosem: pierelot, niedolot...

Stacha coś unosiło, wyglądał raz wraz na świat; prężył ramiona i szępkami trzaskał; coś się w nim okrutnie zmagalo, a zaczął się w milczeniu uporczywom, nie słysząc pytań Józwy. Zwalili się wręczela na siano, ciężko dysząc... Boleso chłopackiej krzywdy szarpala duszę zacięta, nieustępliwą w obronie swego dobra.

— Tak, z tej grozy, z żywiołu zniszczenia, z huku armat i tysiącznych huków pożarnych, z bezradnej chłopackiej krzywdy wniędzilo ten bagnot polski, dźwignięty własną wolą nasza! — snuł swe rozmyślanja Jan.

Armaty wolały grały.

Jan, rzuciwszy krótkie przypomnienie Józwie, aby czuwał, na niego bowiem kolej wypadła, opuścił się na posłanie, nastuchując dalekiego, ledwo słyszanego turkotu kolei żelaznej, w marzeniu, że może to już ostatni na tym szmacie jego, ziemi szerokotorowca. —

Zapadł w twardy sen.

Dzień następny minął bez zmiany. Więzienie, choć na wonnym posłaniu, siawało się coraz dokuczliwszem.

Jeden Józwa nie tracił humoru; poprawiał opatrunek, chwalać się, że lada dzień go zruel; nie przestawał się kręcić, dowcipując.

— To by poslecha była; jedate kozak, patrzy — stóg, ot i ochota mu przysza uszczeknąć siano dla konia; podjeżdża...

— Niechno by się pokazał, już by go nie było! — odparł spokojnie Stach.

— No! no! Budzicie się, a tu was kozak za nogi na dół ciągnie, co?

— On imnie na dół, a wy mnie, Józwa, do góry. Czepilibym się kozaka i dalej go z powrotem na stóg!

— Potulalibyśmy go tu po slanku!

Zasmiiali się wazyscy trzej scicha.

Ratnoją się snul wśród huku armat.

— Robota idzie — mawiał Stach. Gdy milkły, mdła markotność ich ogarniała. Czasami Józwa, wygodnie zasiedając, próbował sprowadzić rozmowę na tory poważne.

— Powiadam, Janie, gdyby tak materjału nie brakło, wszystko by się udawało, jak ten most pod Białą! Setnie obstawiliśmy — ani słowa!

— Robiło się co się mogło,

— Tak, ale czy to już warto o tym mówić? — odrzekł Jan oschle, chcąc urwać rozmowę.

Józwa to sponuzegł, po chwili mówił, jakby do siebie:

— A co tam nasi? Józefek? ... Kruk? ... Wojtuś? ... Jur? ...

Na dźwięk tego imienia Jan drgnął, odwrócił twarz od towarzyszezy; on jeden wiedział, że Jur kochany już nigdy nie wróci ...

Józwa zamłkli, zmieszał się, sam a'ś wiedząc, czemu; położył się, na ścianie i długie milczał.

Po północy znów dał się słyszeć pod stołem znajomy głos:

— Jan!

Znów przyjęto chleby, zamienlając daban pusty na pełny.

Chłopak powtórzył prawie bez zmiany wieści dala poprzedniego, ostrzegając, aby się nie ruszać, bo coraz więcej patroli kozackich uwija się w okolicy; pałą, dragami zboże walują; byli już w wiosce, pieniędzy nabrali, aby nie palić, ale i tak pałą, z chat gonią; mało co ludzi w wiosce zostało, tyle jeno w ukryciu, aby nie dopuścić do palenia ...

Znikł w mroku nocy równie cicho, jak przyszedł ...

Minęła noc niespokojna, wśród huków nemiłkających, lunami coraz to bliższych pożarów barwiona, pełna zamieszanych odgłosów, bliższych i dalszych, tętentów, łoskotów, jakichś nawoływania bliższych, i głuchych, dalekich ...

Świt złoty stał się zmęczona powłaki. Jan czuł spokojny, jak czeka wytrawny podróżnik na przyjęcie swęga pociągu.

Dzień był okropny, Józwa skłinał się, że coś ma tego więzienia, że woli zginać z karabinem w ręku, niż uszyć się, jak stara onuczka. Stach rezorniał, ponurość mu bila z oblicza, zaczął się w milczeniu.

Złapał wodę, smiłł papierosa, zapominając dala cały o postiku.

Skłinał się cichy dzień. Gasły krwawe blaski zachodu. Fiolet nocy lipcowej zwolna zapadał.

Jan nastuchiwał. Mijały długie chwile zadumy, zdumienia, cichej radości ...

— Dzisiaj to się już pownie skończy — odezwał się Jan.

Józwa i Stach drgnęli.

Z daleka dobiegał śród cizsy wyrażny łoskot kolei żelaznej.

— To pownie także ostatni ich pociąg! — rzekł Jan.

— A czemu tak myślicie? — zapytał prawie jednocześnie Józwa i Stach.

— Ano myślę, że widać już ruszono Moskali z ostatniej pozycji, cofają się teraz, tamci nacierają, jadąc im pownie na karkach. Gdy Moskale zajmą, cofają się nowe stanowiska, dadzą o sobie znać i wnet ich usłyszymy ... Ale wtedy my już będziemy po za kordonem armji rosyjskiej. Cofając się pospiesznie na północowschód, zostawi nas Moskale na boku!

— A skąd wy to wiecie? — spytał zlodowierzając Stach.

— Tak z mapy wypadła.

— I wiecie, chłopcy, my tu zwyciężcy — w tym pojedynku z milionową armją! Na własnej ziemi zostajemy i przy nas zostaje plac boju! rzekł wesole Jan. — Karabiny wiec w pogotowiu!

Wydobyto je z szana i położono obok siebie, nabito.

Nagle dał się słyszeć huk — łoskot, choć daleki, ale wyraźny, charakterystyczny.

Józwa zatrząsł się cały. Chwylił Jana za dłoń w radosnem umiesieniu.

— Słyszeliście to taki sam, jako żywo, jak ten nasz — to most!

Wzruszenie udzieliło się Janowi.

— Tak to most, a teraz drugi pójdzie! Niedługo czekali z zapartym oddechem: poszedł i drugi, a potem szły huk i słabszo, głuche, z początku rzadkie, coraz częstsze i dalsze ...

— To plant kolejowy! Dziś będzie koniec! — rzekł Jan i chciał powstać, lecz, tknąwszy głową o szapę, znów usiadł.

Przez szpary widać było jak na dłoni plonąca na wzgórzu włoską odległą, za ledwie o wiorst parę. Huki wciąż ciszą targaly, to mocniej, to słabszo, coraz dalsze ...

Dniało. Powoli wychylały się z szarych mgieł poranka czuby szarów, zarysy chat

najbliższej wioski. Wylaniały się w oczach Stacha pobielane ściany chat lekliwie, jakby bojąc się ujawnić światłu dziennemu swe istnienie. Widząc te strzechy ocalałe witał je rzewną radością.

Droga przez wioskę, szła prawie prostopadle do głównego gościńca, prowadzącego z zachodu na północowschód, wśród drobnych wyniosłości, wąwozów, krzewami zarosniętych.

Świt jasny ziocił ziemię.

Z przeciwnego końca wioski dobiegały odgłosy zmieszanej wrzawy — tętentów i rżenie koni.

Wtuleni w rozstrzępione otwory w szopie, Jan, Józwa i Stach wypatrywali krajobraz, czekali.

Z za węgla pierwszej z brzegu chaty wychylił się kozak z pionącą żagwią w dłoni. Stał na drodze do drogi zwrócony, rozetzał się, odwrócił, złożył płomień na ziemi; znikł za węglem; powrócił po chwili z wiązką słomy; pchnął nogą żagiew, ukląkł, aby ją rozdmuchać. Cóż było łatwiejszego — wychylić się z pod stogu i zmierzyć? Cel był jak na stole, odległość nie większa nad dwieście kroków!...

Jan jednak oparł się pokusie i strzelec zakazał.

Błysnęło żywe płomień, kozak powstał, obłożył suto róg chałupy słomą; odstąpił parę kroków... Buchnęły płomienie; liżąc belki, pełzały ogniste języki, raz wraz wlewały strzechy.

Podpalacz zawrócił i znikł za studnią na drodze do wsi.

Stachowi chrapy grały, oczy krwią zasłone palły się ogniem strasznym. Chwylił karabin, zręcznie dwoma ruchami zdjął bagnet i szacym zdołano się spojrzeć, zeznał się ze stogu. Zasłonięty stogiem od drogi, przebył łączkę, wpół biegnąc, zgarbiony, wpół pełzając na brzuchu, dopadł Janu żyta. Jak ryba w nurcie, zanurzył się w gęstwi kłosów i przepadł dla oczu.

Pełzając na brzuchu, kierował się wciąż równolegle do głównego gościńca wiedząc, że tylko tą drogą mógł się odbywać odwrót ostatnich patroli. Należało okolić i wyprzedzić...

Przesuwał się ruchami kociemi przez wąskie miedze, przesadzał zręcznie rękami ciała rowy, przebył nieskoszoną łączkę, przedzierał się przez kępy krzewów, dał odzież, ręce i twarz, ścigając ras wraz czapkę na tył głowy, aż znów cały

wprężył się w słodkie, pachnące szmery łąków żytnich,

Przebył je i głowę wychylił: nie zmylił drogi; skręcił na lewo, dopelznął wśród żyta do ostatniego pagórka przy drodze. Na prawo bieleł się szeroki, równy gościńiec.

Odetchnął, otarł rękawem pot, zmieszany z krwi kroplami. Ukląkł, karabin starannie opatrzył; złożył się raz i drugi, celując w kierunku drogi; pod osłoną pagórka czuł się bezpiecznym. Czekał, czekał z rozkoszą tej chwili i pragnął je jak zbawienia wiecznego.

Czekał długo, wytrwale, nasłuchiwał, lecz w odgłosach dalekich zmieszanej wrzawy napróżno szukał jedyne go znaku...

Nagle... z daleka... daleki, głuchy odgłos... coraz bliższy, wyraźniejszy — tętent — to on... Jeszcze... już blisko... Słychać jakby nad głowę chrzęst bronii, granie końskiej wątroby... Już go widział, jak pędził wyciągniętym kłosem na małym, bystrym koniku — pomyka żywo, ochoczo...

Stach przegął tułów naprzód, złożył się, puścił przed sobą jeźdźca na kilkanaście kroków po białym, równym gościńcu i zanim jeździec zrównał się z gruszą przydrożną, celując w sam łeb wypalił.

Karabin opuścił na ziemię, głowę podniósł, patrzy bez drżenia... Zachwiał się jeździec, zadygotał na kulbacc. Koni szarpnięty rzucił się naprzód, poniosł. Jeździec ramionami jak skrzydłami zgarbiając powietrze, stoczył się z konia i runął na ziemię.

Kon zatrzymał się w biegu, odwrócił głowę i zariał...

Stach powstał, rozejrzał się. Karabin z całym rozmachem odrzucił w tyto. I sam tym samym zwinnym ruchem zarył się w gęstwi kłosów.

Pełnął znów; już winnym kierunku, przeciskał się przez gęszce, dał dłoń, kolana, dysząc ciężko; pluł gorzką śliną zmieszaną z kurzem. Zatrzymał się szmerem jednostajnym szóst ośmielony. Przyłożył ucho do ziemi, słucha.

Cisza... Nagle zadudniała ziemia dalekim tętentem... Wiele kopyt koniakich... Jada, szybko, szybko, co się starczy... Od takiej jazdy dech w piersi zamiera... Jada... stanęli...

To chyba tam... Rżenie wiatr niesie... Znów jada, pędzą... Ci sami? Chyba inni... Dopędzają się. Coraz głośniejsz ziemia dudni... Jakby cepami tłuki to szło słońce. Jada!... Jakiś to pęd! I

wiatr ich nie dogonił! A ziemia jęczy i dudni: tutum, tutum.. Coraz dalej, coraz ciszej i ciszej..

Stacha ogarnęła ciężkość. Głowa kłoniła się do ziemi, powieki się kleiły. Odganiał sen; trąs powieki, czekał wciąż, nasłuchując. Słońce już mocno paliło i głód w sobie poczuł okrutny, gdy wreszcie powstał i miedziami wśród zbóż skierował się do wioski.

Wstąpił na pagórek przy drodze, przetarł oczy.

Tlą się zgłiszczą pierwazęj z brzegu ohałupy. Dalsze jaśniały się w słońcu błazemi ścianami.

Słucha: jakies inne glosy; pędem zaczął biec. Znow stanął, nasłuchując.

Na drugim końcu wsi bucha plomieniem paląca się chata. Wrzawa głosów dobiega.

— A toż to nasi! Chłopi ratują, pożar gaszą!

Przebiegł znów stając, wskoczył na pagórek.

— A cóż tam za zbiegowisko?!

Chłopy kołem stoją, a w środku przy studni wojacy — konie poją, z chłopami rozprawiają!..

Stach poznał; akuratnie, jak Jan mówił; szare kurty na nich, na czapkach orły, i w jasny dzień, otwarte i hardo błyskają ostrzem bagnatów — to oni.

Stach pierś wyprostował, stanął na baczność i wedle instrukcji Jana — dwa palce podniósł do czapki.

Tadeusz Kończyc.

Pójdziemy wszyscy.

Pójdziemy wszyscy... Z bronią czy bez broni,
Pieszko, czy w konnym bojowym ordynku!
I nie zaznamy rozkoszy spoczynku,
I nie wypuścim dotąd miecza z dłoni,
Aż wróg swój krwawy łeb do nóg nam skłoni!

Pójdziemy wszyscy! jako w one lata,
Kiedy dla chwały Rzeczypospolitej
Rzucano gniazda, mienie i zaszczyty,
Gdy się zrywała husarja skrzydlata,
I szła, jak wichur, co po stepach lata!

Pójdziemy wszyscy!... Przez cienie i głogi,
Z utamkiem szabli bodaj! z krwawą blizną!
Zraszając potem i krwią ziemię tyzną,
Przez ukraińskie i poleskie drogi,
I białorusko-litewskie rozłogi!

Pójdziemy wszyscy — ile sił wystarczy,
Będziemy walczyć, Polsko, o Twe szczęście!
Na kosi, jeśli bagnatów nie starczy!
I powrócimy — „z tarczą lub na tarczy“!

A ci, co spoczna w samotnej mogile
Na wielkim stopie, wśród leśnej gęstwiny,
Strzeżeni jeno przez dzikie badyle,
Nie zginą w szarym zapomnienia pyłe
I będą wiecznie tyć przez swoje czyny.

Już rozpętała się ofiarna fala
 Fala zapatu! — fala bohaterstwa!
 Drgnęła uczuciem każda dusza czerstwa
 I ognie w sobie niezmiernie rozpala,
 A to, co było lice — w proch obala!

Słyszysz, o Polsko! ten szum groźnej fali?
 Słyszysz, jak bije o Twój próg daleki
 Krwią się zrumienia bezimiennie rzeki,
 Krwią Twoich synów, lecz i krwią moskali!
 Tak się dokona czyn, co Cię ocali!

Oto najwyższa zebrała się Rada,
 W jednym wysiłku mostwa, a nie w trwodze
 Idą w szeregu żołnierze i wodze!
 Chłop ostrzy kosę, szlachcic na koń siada!
 Któż śmiałby twierdzić, że Polska upada?!
 Pójdziemy wszyscy.

Za jednym rozkazem!

I zwyciężymy teraz, czy też później!
 Nic już tej spójni duchów nie rozluźni
 I zwyciężymy — ogniem i żelazem
 I tem, że wszyscy dziś idziemy razem!

Wobec pertraktacji rozejmowych.

W chwili, gdy poniższy artykuł oddajemy do druku, rozpocząć się mają między delegatami Naczelnego Dowództwa wojsk polskich a Naczelnem Dowództwem wojsk sowieckich rokowania o zawieszeniu broni. Zdawałoby się przeto, że dalsze werbowanie ochotników do wojska polskiego staje się zbędne. Tak jednak nie jest. Przeważnie nie wiemy, czy zawieszenie broni nastąpi istotnie, bo nie wiemy pod jakimi warunkami zechce przeciwnik zgodzić się na zaniechanie działań wojennych i czy te warunki będą dla nas możliwe do przyjęcia. Z dotychczasowego zachowania się rządu sowieckiego wynika, że nie można mu ufać, że chodzi mu raczej o przewleknięcie, o wyzyskanie czasu dla tem lepszego przygotowania się do dalszej walki, niż o wyrzeczenie się swolich za miarów, których urzeczywistnienia Polska przeszkadza. Wszakże my już dawno ujawniliśmy gotowość do zawarcia pokoju, a pierwsze rokowania o zawieszenie broni rozbiły się w rzeczywistości nie o zagadnienie miejsca rokowań, ale o złą wolę przeciwnika. Czy dziś nieprzyjaciół nasz okazał dobrą wolę — o tem się przekonamy.

Jeżeli istotnie nastąpi rozejm, to nie będzie on stanowił o pokoju. O pokoju stanowić będzie znów to, czy warunki rządu sowieckiego są możliwe, czy, jak to niejako uroczyście miarodajnie nasze esyzniki zaznaczyły,

pokój będzie trwały, w całym tego słowa znaczenia dla Ojczyzny naszej honorowy! Wszakże nie moglibyśmy przyjąć narzuconego pokoju, któryby równoznaczny był z oddaniem na marne tytuł ofiar, wysiłków i krwi serdecznej naszej bohaterkiej armji. Dlatego też czuwać musimy, czuwać ze zdwojoną mocą, czuwać z bronią u nogi, aby przeciwnik wiedział, że się usnąć nie damy, że upakarzających nas warunków nie przyjmujemy, że będąc gotowi do zawarcia sprawiedliwego i trwałego pokoju, skrzywdzić się nie pozwolimy a słusznych naszych praw bronić jesteśmy gotowi do ostateczności.

Tylko nasza stanowczość, tylko ujawnienie tej mocy, tej potęgi, którą naród nasz w sobie niewątpliwie ma, a której w pełni dotąd jeszcze nie ujawnił, zdolne są do wymuszenia na przeciwniku ustępstw wobec nas w rokowaniach pokojowych. Dlatego też zapal nasz w formowaniu szeregów ochotniczych, ani na chwilę ustać nie może. Przeciwnie on winien się podwoić, potroić. Niech cały kraj zamieni się w wielki obóz wojenny właśnie w tym celu, aby uzyskać tem rychlej pokój trwały i sprawiedliwy! Starożytni Rzymianie mawiali: Jeśli chcesz mieć pokój — gotuj się do wojny!

W KOSZARACH OCHOTNIKÓW

W starym gmachu kasarnianym przy ul. Zamarstynowskiej, dokąd ongi przymus wprowadzał pod ostrzem karabinów poborowych do zaborskiej armji — dzisiaj rojno i gwarno. Przez szeroką bramę przepływa fala żołnierzy i żołnierzek, snuje się od strony ulic coraz to nowa grupa ochotników, by zaciągnąć się do oddziałów Armji Ochotniczej.

Przybывamy do koszar w chwili południowej. Skonczyły się ćwiczenia ranne, wszystkie „gatunki“ broni po rozległych korytarzach dążą w kierunku kuchni. — Przodem sunie kawalerja i piechota Abrahama, zawiadające, pełne rycerskiego animuszu zagodczyki z Zamarstynowa i Kleparowa. Wystarczył apel umiłowanego nadewszystko rotmistrza, chyżym lotem na kształt iskry isknięcej od jednego domka na przedmieściu do drugiego — a stawili się do apelu wszyscy, co więcej — stanęli zasileni nową rzeszą świeżo zaciągniętych towarzyszy. Wolne, morowe chłopaki. Oczy śmieją się, humor perli się typowam zacięciem słownika podmiejskiego, jeden w drugiego świat w chwata.

Wśród nich rysuje się mała postać zamarstynowskiego chłopaka, liżącego może lat 16. Stoi z menażką przed drzwiami i po ćwiczeniach też czeka, aż go zawolają.

Właśnie przechodzi jeden z oficerów, a widząc małego chłopczyka — odzywa się do niego:

- Z jakiego oddziału?
- Ta, z Abrahama! . . .
- Wybierasz się na front?
- Rozkaz, Panie Poruczniku!

— Ty mały, słaby, nie pójdziesz! Chłopcu zaiskrzyły się oczy, — przez chwilę milczał, a potem nagle rozjaśniła się twarz jego i mówi:

— Panie poruczniku — ta proszę nie robić hecy z mną!

— Mówię serjo!

— Ale jak przyszło bronić Lwowa przed dwoma laty — to ja był. . . mam krzyż Lwowa i odcinkowy . . . pral ja „karaimów“, gdy ze swym atamanem napadli na Zamarstynów i był ranay . . . Panie poruczniku? — prawda, że to heca, że nie pójda na front! . . .

— Heca! . . . — mówi porucznik

— To się wie, dziają każdej zdrowej ręki trzeba! . . . — odpo-

włada uradowany andrus zamarszynowski.

Tuż obok niego inny ochotnik zwraca uwagę. Słuszny, warty, o delikatnym obliczu uczeń, w szynel rosyjski ubrany. Podchodzę i pytam, skąd przybywa.

— Z Kijowa, zostawiłem wszystko, dom ojcowski i poszedłem za armją, by dziś do armji wstąpić! Panie! — mówi — jakbym pragnął być już na froncie i prać bolszewików, których tak dobrze poznałem podczas ostatnich walk w Kijowie.

W kuchni tymczasem gwar i robota w całej pełni. Ołbrzymie kotły na żarze dużego paleniska dymią i zanoszą wonią daleko po korytarzach.

Wyzekujący niecierpliwą się. Odzywa się przypomnienie „urzędowe” — chóralne, miarowe:

— My — chce — my — jeść!...

Mała gromadka obywatelskiej służby ochotniczej „kuchennej” krząta się, co się zowie. Nasze dzielne skautki na stanowiskach od wczesnej godziny porannej do późnej wieczornej okazały się materiałem pierwszorzędnej wartości. Przewodzi tej znacznej gromadce harcerek w tym kulinarnym rozgwarze pani M., pod której kierunkiem praca idzie składowo i gładko tak, iż w ciągu kilku dni zaledwie zorganizowanie całego aparatu, przy nadzwyczaj umiętnych a owocnych zabiegach ppor. D-ra Nowaka-Przygodkiewicza, stanęło na wyżynie zadania.

A zadanie to ciężkie, gdy się zważy, że raz po raz napływają nowe oddziały, to „spieszni” — jak z humorem mówią — kawalerzyści, to ci od armat lub od maszynek. Płyną przez kuchnię szeregi, z każdym dniem liczniejsze, nastrój panuje wesoły, dowcipy syją się jak z rogu obfitości, nieraz soczyste, szczerze wylewy uczuć ochotnika — żołnierza. Oł, zbliża się oddział kawaleryjski.

Pierwszy z brzegu występuje i przedkłada dwie menażki. Zdziwiona skautka pyta, dla kogo druga porcja.

— Ta dla mego kolegi Maciek!...

— Niech sam tutaj przyjdzie!...

— Ta, nie może przyjść, bo go warta nie puści?

— Dlaczego go warta nie puści?

— Obywatelko! ta to mój kochany Maciek!...

Huragan śmiechu porwał wszystkich. Śmiało się do rozpuku bractwo kawaleryjskiego autoramentu, śmiała się kuchnia cała z dowcipu Kleparowiaka.

Przeszli kawalerzyści i armaciarze, sztabowcy — niby ci ze sztabowej kompanji — przyszła kolej na piechotę. W drugim ogonku ustawiła się hen daleko, aż na skraj korytarzy długich, po schodach i na podwórzu kompanja pierwsza i druga, trzecia, czwarta, piąta i t. d., bo z każdym dniem przybywa ochotników; to też kompanje rosną jak na drożdżach.

W kuchni tymczasem robota w dalszym ciągu wrę w całej pełni; powoli słabnie pozornie, odplynęły falangi żołnierzy — trzeba przygotować czarną kawę na wieczór.

Wracamy. U załomu okna stoi jakiś małek i zanosi się od placza. Pytamy o przyczynę. „Wyrzucili mnie z wojska!...” powiada. „Powiedziałem porucznikowi, że mam 16 lat, zdarłem paski drugiej klasy... poznali się na moim wieku i wyrzucili!... a tak chciałem iść na front!... a dzisiaj co będę robić?...”

Radzimy mu objęcie kurjerskiej służby.

— To nie jest służba!...

— Dlaczego?

— Bo bez karabina!

Zostawiamy zawodzącego placzem kandydata na żołnierza. Na podwórzu koszarowym ćwiczenia. Warok nasz pada na ubocze podwórca, gdzie skaut ćwiczy jakiegoś Longinusa. Mały przelotny i dwumetrowej długości rekrut tworzą oryginalną grupę. Młody chłopak w poważnej roli mentora militarnej wiedzy i starszy wiekiem ochotnik, w słuch obrócony, tworzą rodzajowy obrazek koszarowego życia.

▲ takich miłych, serdecznych obrazków w koszarach przy ulicy Zamarszynowskiej jest wiele. — Patrząc na nie wychodzimy pełni wiary i otuchy, że niebawem na linii bojowej barbarzyńskiemu najeźdźcy ochotnik z hasłem „bój — zwycięstwo” — rzuci zapórę z okrzykiem: „wara od granic Polski!”

(„Słowo polskie.”)

Święto Armji Ochotniczej w Łodzi.

... Azali widzieliście wszyscy te twarze roześmiane, szczęśliwe, okolone bijącą od nich jaśnią poświęcenia; twarze żołnierzy ochotników? ... Azali odczuwaliście ten zapach gorący, jaki blił od maszerujących ulicami miasta w niedzielę ubiegłą szeregów Armji Ochotniczej? ...

Oto plac Dąbrowskiego. Ołtarz. Msza polowa. Zbiera się lud. Na czele przedstawiciele zrzeszeń, instytucji ... Las sztandarów. Cała Łódź patriotyczna, Łódź robotnicza, zadokumentowała, jak drogą jest jej ten żołnierz-ochotnik ...

Nastrój potężny ... Płyną ku Panu nad Pany modły, by pobogosławie raczył młodemu orężowi polskiemu... Podniesione kornie chylią się głowy. Nowa wiara wstępuje w serca — podnosi ...

Msza skończona.

Rozlega się doniosły głos żołnierski. Znany głos kochanego dowódcy. To generał Olszewski przemawia do ochotników. Skupione umysły chwytają uważnie każde słowo ... „Przykazaniem Waszem na okres ciężkiej próby, jaki Ojczyzna przeżywa, musi stać się najwyższa gorliwość i praca w dziele żołnierskiego wykształcenia, abyście potrafili godnie służyć czy wzmocnić szeregi walczących na froncie“... „Z dumą i nadzieją spogląda dziś na Was naród cały ... Przez pracę i szon żołnierski pojedziecie śmiało pod przewodem Naczelnego Wodza po laur zwycięstwa!“ ...

... Iskrzą się oczy ... zaciskają pięści ... silniej tętni krew w żyłach ... choćby zaraz iść w bój ... bronić Ojczyzny ... wszyscy gotowi ...

Ale oto i koniec uroczystości na placu. Formuje się pochód. Z orkiestrą na czele idą kolejarzy, pocztowcy, polskie związki zawodowe, skarbowcy, urzędnicy, straż ogniowa, majstrowie fabryczni, organizacje kobiece — idą — idą różne delegacje, przedstawiciele społeczeństwa ...

Barwną wstęgą suną się tłumy przez Cegielińską i Piotrkowską.

Przed Grand Hotelem gen. Olszewski w otoczeniu korpusu oficerskiego ...

Obie strony ulic zalega nieprzejrzanie marnie publiczność . . . Wszyscy, szukają suchów-ochotników, którzy jeszcze zostali na placu . . .

Mija kwadrans . . . Wojska jeszcze nie widać. Oczekiwanie rosnie. Tłumy się powiększają . . .

Narocenia . . . U wylotu Ogólnolubnej ukonują się pierwszy oddział . . . Orkiestra gra marnie . . . Po zapaleniach publiczność przebiega numer . . .

Ochotnicy idą!

Na czele pułk. Zienkiewicz, Inspektor Armji Ochotniczej. Bzybkiem krokiem maszerują chłopcy . . . Aż dusza drga . . . Bylą się kwiaty z okien, z balkonów . . . Oklaski, okrzyki . . . „Nicuś żyje Armja Ochotnicza!” . . .

Oklaski, oklaski, entuzjastyczne okrzyki . . .

Maszerują ochotnicy . . . Śmieją się im oczy — radzi . . . damni . . . Idą kompanje ochotnicze 28 i 31 pułku Strzelców Karłowickich, taborów, wojsk kolejowych, telegraficznych, samochodowych i t. d. . . wszystkich formacji i rodzajów broni. Na końcu drobny francuski kroczkiem dropę ochotnicy z 1 pułku Osołgów . . .

Pochód zamykają ochotnicy Narodowej Partji Robotniczej ze sztandarem . . . Ci jeszcze w cywili . . . Przyjechali z Jablonny, z 201 pułku Legjonów.

Baczność . . . Defilada: w prawo patrz! Raz, dwa . . .

To przed Dowódcą Okręgu gen. Olszewskim. Maszerują . . . A ci ochotnicy, którzy na trotuarach stoją — patrz, patrz i końca wypatrzed nie mogą . . .

Wiarą ochotniczą idzie, idzie bez końca.

Orkiestra gra. Okrzyki, oklaski. Bylą się kwiaty . . . Pełno ich . . . Radują się serca . . . Nasz kochanek. A jest ich kilka tysięcy. Tu ktoś zapłakał . . . Znow oklaski, okrzyki. Idą, idą młodzi, starzy . . . kapral jakiś siwłutenki, dzielnie jednak krok stawia . . . Tu urzędnik banku obok robotnika, tutaj właściciel obok nauczyciela . . . W służbie dla Ojczyzny z bronią w rękę wszyscy razem, wszyscy równi bezwzględnie . . .

No, pochód się nie kończy . . . Przeszli ku Górnemu Rynekowi . . . Tłumy się rozchodzą . . . Wszędzie ufność na twarzach, wszędzie radość . . .

Z tą wiarą ochotniczą Polska nie zginie . . . Nie . . .

Jan Wojtyński.

M. MIŁCZDAŃSKI

TAM, GDZIE SIĘ KREW LEJE.

Podług Ustawy o Karych Nr...
W pociągu na wanni przeważnie z
pod Wolkowyska. W wagonie, do
którego wchodzi, na jednej z dol-
nych ław z bladą twarzą, swardoną
do głowy i z rękami, założonemi pod
głową, leży nieruchomo chłopiec
siedemnastoletni, może nieco starszy.
Trawa noga jak wielki biały pień
w grubym obandażowaniu spoczywa
na koldrze.

Zbliżam się. Zaczynamy rozmowę.

— W której walce uczestniczył
pani?

— Pod Żywą (Zolwą), proszę
pana!

— W jaki sposób? Czy podczas
ataku?

— Sam deklaruję nie wiem. Niby
to podczas ataku!

I po chwili namysłu zaczyna opo-
wiadać.

Uznał i dwie noce były w
walce. Nagł, jak gdyby ja ołowiem
nalana. Spać się chciało tak, że
ślepio się same podczas marszu za-
mykały. Szli, szli drogą; aż tu mo-
stek przez rzeczkę.

— Tu będziemy mogli trochę
spocząć! — powiada p. porucznik.

Zo spełnieniem rozkazu żołnierze
nie ociekali się. Po chwili wszystko,
co było, położyło się i spało. W
stronę nieprzyjaciela, oczywiście, zo-
stały wysłane patrole. Może i go-
dziny dobrej nie trwał odpoczynek,
gdy ukazały się nasze fury taborowe.
Pędzą, co koń wyskoczy. Żołnierze
furmani palą z butów, gwizdzą i
wykrzykują:

— Bolszewicy! Bolszewicy u nas
na karku siedzą! Powstrzymajcie
ich, chłopcy, bo, jak Bóg na niebie,
knie i wozy nam odbiorą!

P. Porucznik zaraz kazali w „ty-
ralfeckę” i naprzód.

— Idziemy — powiada mi ranny
a oczy mu błyszczą — aż tu naprze-
ciwko wyjeżdżają konno z za krza-
ków kupki bolszewików. Spraliśmy

ich raz, drugi i karabinów, w ten
sraz z powrotem do krzaków. Bła-
dziwy w dolbach, kto gdzie trafił,
czekamy. Pan porucznik polecał.

— Chłopcy! — powiada p. —
Moiście trzeba bronić najmniej przez
godzinę. Tu, po tej stronie nam
artylerja jest jeszcze, musi przejechać
na tamten brzeg. Jeżeli most od-
damy, stracimy armaty.

— Rozkaz, panie poruczniku! —
powiadamy.

Tylko odezwał p. porucznik, a tu
z krzaków bolszewicy do nas. Ale
już nie konno, a na piechotę. Zna-
czeli pierwsi z karabinów do nas
sypać. Gęsto, Gęsto. Mierzymy, bo
nam naboł szkoda. Wtedy oni do
ataku. Myśmy zaczęli trochę i jak
zaczniemy parzyć. Jak kłosa pod
sierpem, tak padali. Nie wytrzymał
naszego ognia, rzucili się z powro-
tem do krzaków. A stamtąd do nich
karabin maszynowy: tra-ta-ta-ta. Te-
ich kombinacje do ataku podpedzali.
Znowu oni do nas. Znowu my ich
prąd. Oni do krzaków, kulmiot za-
czyna ich kosić. Strach było patrzeć.
Wszyscy potegli; ani jeden został.

W kwadrans potem nowy atak.
Wyskoczyli z krzaków, jakgdyby ich
kto białem stamtąd wypędził. Baga-
nety w łapy i błękną do nas. Moc
ich była wielka. Co najmniej dzie-
sięciu na każdego z nas. Zaczęliśmy
odchodzić. Ale powoli, bo pamięta-
my, co pan porucznik powiedział,
by „bez” godzinę mostku nie odda-
wać. Tu, właśnie, kiedy przybiegłem
od jednego krzaczka do drugiego, w
kolano mnie uderzyło. Upadłem. Już
tu śmierć moja, tak uważam. Leżę
minutę, dwie, niby trochę lepiej mi się
zrobiło. Karabin też, obok na trawie,
Czego, myślę, będą tak leżał? Jed-
nakowo śmierć, więc będą mostu do
końca bronili.

Wziąłem karabin do ręki. Akurat
na czu, bo już czterech bolszewików
do mnie się zbliża. Błkusiensko!

Do doskonale, myślę. Strzelilem dwa razy, dwóch upadło. Dwaj inni dopadli jakiegoś dołku, położyli się i zaczęli stamtąd strzelać, mierząc do mnie. Dalbym sobie z nimi radę, gdyby nie to, że z tyłu kilku nowych do nich podbiegło i jeśli atakować mnie całą gromadą.

— Teraz już zgine niechybnie! — myślę.

Zacząłem strzelać. Kilku upadło. Ale reszta tuż już nademną. Wtem, jak huknie armata raz, drugi. Bolsze-wików, jak gdyby, proszę pana, zdmuchnęło. Ani śladu. Tu straciłem

przytomność. Ocknąłem się dopiero, gdy mi p. doktor nogę bandażowali.

— Jak z mostem? — pytam.

— Z jakim mostem?

— Co pan porucznik bronić ka-zali?

Pan doktor nic o tem nie wie-dzieli. Dopiero w dwa dni później dowiedziałem się, że nasza artylerja zdążyła powrócić „bez” rzeczkę.

Zamilkł. Jakaś imponująca jas-ność bije od twarzy tego pół-dzie-ciaka, tego jednego z najlepszych obywateli nowej Polski.

Z KRONIKI ARMJI OCHOTNICZEJ.

Prasa łódzka w dalszym ciągu pełna jest ochwał rozmaitych instytucji i arzeszeń za wstępowaniem do wojska. Dowództwo Okręgu Generalnego w celu znaytkowania materiału wojskowego w postaci członków tych in-stytucji, tak licznych, które zgłosiły swój akces do A. O., — zasiadało od tychże instytucji dokładnego wykazu członków, by postawić ich jak najprędzej przed komisje zasiagowe.

Napływ ochotników nie maleje. Zapal patrijotyczny w szerokich ma-sach społeczeństwa trwa. Inspektorat Armji Ochotniczej komunikuje na-wet, że w szeregu miejscowości napływ ochotników zwiększył się. Po wsiach i małych miastach zspadają ochwały gromadzkie, aby tym, którzy nie stają do speli na obronę ojczyzny — odebrano prawo korzystania z ochwalonej świeco przez Sejm reformy rolnej.

W Łodzi m. in. biuro werbunkowe otworzyli weterani-powstańcy 1863 roku.

Słowem: przed biurami zasiagowymi w dalszym ciągu ruch. Zgła-szają się nadal przeważnie: urzędnicy, robotnicy i młodzież.

Ze Lwowa i Poznania wyruszyły już na front pierwsze oddziały ochot-ników. W Kaliszu i Krakowie miało miejsce w ubiegłym tygodniu wzru-szające ślubowanie ochotników. Ziemia sieradzka, plocka i łeczycka orga-nizuje konne oddziały ochotnicze, które wcielone będą do istniejących formacji. Oddział partyzancki w Warszawie (konny) formuje się także bardzo szybko. Kto żyw, chwytą za broń!

(jw).

Ilustracja: Artura Szyka. Składali bezinteresownie pod kierunkiem technicznym W. Stolarskiego: A. Rode, St. Piasecki, B. Volkmann, F. Kurt, L. Wiekliński, R. Hofsäss, O. Hofsäss, J. Dębowski i A. Hensch. Emał L. Kuk. Odlewał W. Msty-czynski. Odbijał J. Pawlicki. Uczniowie: J. Arnold i A. Kosiorzewicz.

Wydawnictwo Sekcji Propagandy Wydziału II D. O. G. Ł. Redagował: Lucjan Dąbrowski.

Odbite w tygodni „Neue Loöser Zeitung”.